

Robert Marasco

Całopalenie

Tłumaczenie: Bartosz Czartoryski

Dla moich Rodziców

I

– Nie pędź tak, skarbie. W tył zwrot.

Ośmioletni David zatrzymał się dopiero na środku salonu, unosząc ramiona, jakby się przygotowywał na zderzenie z czymś twardym, po czym powoli się obrócił. Marian stała w niewielkim przedsionku na tyłach mieszkania, pomiędzy dwoma sypialniami. Jej ręka wystrzeliła w górę niczym semafor kolejowy, wskazując pokój chłopca.

– Jeszcze przed chwilą było tu czyściutko – powiedziała. – Nie zapomniawsz o czymś?

Powłócząc nogami, podreptał po dywaniku i dopiero co wyszorowanej przez nią drewnianej podłodze. Jego trampki skrzypiały nieśmiało przy każdym kroku.

– Ściągaj buty – powiedziała Marian, kiedy ją mijał. – Już rozumiesz?

David ściągnął z klamki swoją szkolną koszulę, otworzył szafę i sięgnął po wieszak.

– Zapomniałem – bąknął.

– Jak na tak bystrego dzieciaka, strasznie często coś wylatuje

ci z głowy. – Patrzyła, jak naciąga koszulę na wieszak. – Zmieściłbyś się na jednym, gdybyś najpierw powiesił spodnie.

– Spodnie *też*?

– Pewnie, że spodnie *też*. I buty.

Spodnie leżały na podłodze, przy krześle. Podniósł je i zaczął upychać nogawkę przez wieszak.

– Skarbie... – powiedziała cierpliwie.

Demonstracyjnie opuścił wieszak.

– Nie dam rady, jak patrzysz. Denerwuję się.

– No to nie będę patrzeć. – Odwróciła się do niego plecami, twarzą do okien. – Powiedz kiedy.

Słyszała jego mamrotanie przebijające się przez dźwięki dochodzące z dziedzińca znajdującego się trzy piętra niżej. Podeszła bliżej do okien i poprawiła pierścienie czerwonych zazdrostek, które osłaniały mieszkanie przed spojrzzeniami z budynku naprzeciwko, o elewacji ze szkła i gładkiego białego kamienia. Marian usłyszała donośny kobiecy głos krzyczący: „Darlene!” i wychyliła się, żeby spojrzeć na dół.

Znajdował się tam całkiem spory plac o betonowej nawierzchni, ograniczony niskimi trawnikami. Służył przede wszystkim jako upstrzony ławeczkami pasaż prowadzący do wejść do wieloskrzydłowego budynku stojącego niecałe dziesięć metrów dalej. Okupowały go zwłaszcza kobiety, głównie młode matki, przy których nie dalej jak na wyciągnięcie ręki stały dziecięce wózki. Raz jeszcze usłyszała wołanie: „Darlene!”, tym razem głośniejsze, i zobaczyła podrywającą się z jednej z ławeczek młodą kobietę w szortach i bluzce na ramiączkach, która pokazywała palcem na kogoś znajdującego się poza polem widzenia Marian. „No, teraz to już *naprawdę* ci się dostanie!”. Dwa wózki odsunęły się, żeby przepuścić ko-

bietę i zniknęła. Krzyk, jaki się rozległ zaraz potem, wskazywał na to, że Darlene rzeczywiście się dostało.

Ten tydzień był nienaturalnie ciepły – dzisiaj mieli dwadzieścia cztery stopnie, a przecież była dopiero połowa maja – i dziedziniec, tak jak każdej wiosny, przemienił się w zatłoczony i rozbrzmiewający echem plac zabaw. Latem, kiedy dni były coraz dłuższe, zgiełk stawał się nie zniesienia.

Lato. Mieszkanie. Queens. Wszystko to wybrzmiewało złowieszczo. Znowu.

Zerknęła ukradkiem na Davida. Odwiesił już wieszak, który uginał się pod ciężarem ubrań, i włożył swoje szkolne buty do worka. Gdy tylko skończył, w mieszkaniu na dole rozbrzmiało pianino.

Trzecia trzydzieści. Mogłaby nastawiać według tego zegarek. Na rozgrzewkę gamy. Docieranie się trwało przez dobre pięć minut, potem następował przeskok do Bacha, Beethovena lub czegoś innego, co akurat przerabiała tego miesiąca lokatorka z mieszkania 2-D, od trzeciej trzydzieści do piątej, pięć dni w tygodniu. Rzępolenie będzie wybrzmiewać aż do końca miesiąca, tyle że coraz szybciej, głośniej, sprawniej. Jak teraz. Skrzywiła się. Znowu fałsz. A to dopiero *gama*, na Boga. Cóż, nie było jednak sensu się skarżyć, umowa najmu mówiła wyraźnie, od dziewiątej do dziewiątej... I dlatego uśmiechnęła się tylko, ciężkim krokiem odchodząc od okna.

David zatrzasnął drzwi szafy i stanął przed nią, rozkładając wyzywająco ręce.

– *Dobrze?*

– Dobrze – odparła. Przeszła po włochatym, czerwonym dywanie leżącym na środku pokoju i przykucnęła przed chłopcem. – Czy nie wygląda to teraz lepiej? Sam przyznaj.

Nie przyzna. Wcześniej też wyglądało dobrze.

Wsunęła mu koszulkę do spodni, przyciągnęła go do siebie i pocałowała z cmoknięciem.

– Wiem, że jestem trudna – powiedziała pojednawczo – ale i z ciebie niezły numer.

Próbował się odsunąć.

– Spóźnię się.

– Niby gdzie?

– *Gdzieś.*

– No to się spóźnisz. Widuję cię tylko wtedy, kiedy się na ciebie wydzieram. Dlatego tak dużo krzyczę.

Czekał niecierpliwie, aż wygładzi mu włosy, ciemne i gęste jak u Bena. Ona miała długie i mysie, a raz, tuż po tym, jak stuknęła jej trzydziestka, znalazła pojedynczy siwy kosmyk, który wyrwała.

– Pamiętaj, nie jeźdź rowerem po bulwarze i masz być w domu przed szóstą. Przed S-Z-Ó-S-T-Ą. Szóstą. Rozumiemy się? A teraz buziak.

Ledwie musnął ustami jej policzek i, nagle ożywiony, wybiegł z pokoju.

Marian przysiadła na piętach i czekała, aż trzasną drzwi i zadrzą szyby w oknach. Do pokoju powrócił porządek, przynajmniej na jakiś czas. Był to wzorcowy przykład chłopięcej sypialni, z jaškami starannie poukładanymi na narzucie, niewielkim biurczkiem na wysoki połysk połączonym z półką na książki, plakatami z futbolistami i schematami dawnej broni palnej. Ścianę nad łóżkiem zdobili powieszoni nierówno Kaczor Duffy i Alfred E. Neuman. Na blacie biurka stał model fregaty, można było jeszcze wypatrzeć porozstawiane tu i ówdzie samochód marki Ford Mustang, Drakulę i mumię,

a także mechanicznego, rumieniącego się Frankensteina, któremu spadały spodnie (David dostał go od cioci Elizabeth, posiadaczki identycznego egzemplarza). Wszystkie zabawki zostały odkurzone i pokój pachniał, tak jak całe mieszkanie, świeżością i środkami czystości.

Trzasnęły drzwi wejściowe i zasłonki lekko się wydeły. Marian skubała od niechcienia koc. Czuła, jak podłoga drży od dźwięku pianina. Instynktownie chciała gruchnąć o nią pięścią, ale było już dość niezręcznie natykać się na tę kobietę na korytarzu lub przy skrzynkach na listy. Złapała za białą nitkę i pociągnęła. Umazała sobie palce sadzą. Przyklęknęła i nachyliła się nad kocem, szorując po nim dłonią. Znalazła niebieskie włókna z narzuty w swojej sypialni. Musi opróżnić odkurzaczy. Wygładziła koc dłonią, wstała, podeszła do szafy i przewiesiła parę ubrań należących do Davida. Przez minutę albo i dwie tylko stała i patrzyła na jego ciuchy. Płynące z dołu gamy przeszły w Bacha i może nawet lubiła te Bachy z mieszkania 2-D, bo było w tej melodii coś takiego, co poruszyło ją na tyle, że musnęła mundurek Davida, jego płaszcz przeciwdeszczowy i podniszczony niebieski szlafrok, do którego wymiany będzie musiała się kiedyś zmusić. Myśli te i muzyka dochodząca z dołu, nawet z jej fałszami, popchnęły ją ku oknu, gdzie czekała, aż chłopiec przejdzie przez dziedziniec. Nie dojrzała go, lecz gdyby jej mignął, zawołałaby: „David!” i rzuciła mu z góry paczkę ciasteczek Yankee Doodles.

*

Mieszkanie składało się z czterech całkiem sporych pokoi wydzielonych gipsowymi ścianami, z których odłaziła farba, nieustannie uzupełniana przez Bena. Wyłożono je parkietem

wybrzuszającym się delikatnie przy dwóch progach, co irytowało Marian. Raz w miesiącu wywracała to wszystko do góry nogami, woskowała i polerowała podłogi, i przynajmniej raz w miesiącu Ben, chodząc po domu w skarpetach, poślizgiwał się, chwytając za oparcie obitego fioletowym kreszem fotela – uszaka i krzyczał: „Jezu Chryste!”.

Kamienica była stara, stała przy szerokim i ruchliwym bulwarze w Queens, wzdłuż którego mieściły się supermarkety, bary, sieciowe knajpy z hamburgerami i kilka chińskich oraz włoskich restauracji specjalizujących się w jedzeniu na wynos. Niedaleko mieściła się remiza strażacka, a bezpośrednio nad budynkiem biegła ścieżka podejścia maszyn lądujących na LaGuardii. Okoliczne nowsze kamienice zamieszkiwały przede wszystkim młode pary i single, starsze – mieszkańcy z dłuższym stażem i kręgarze. Rolfowie – Ben, Marian i David – żyli tu od czterech lat za sto sześćdziesiąt za miesiąc. Okazja, zwłaszcza że za poprzednie, a zarazem swoje pierwsze mieszkanie – ciasne trzy pokoje nieco dalej w Queens – płacili trzydzieści dolarów więcej. Jak nakazywała tradycja, wyprowadzili się stamtąd, szukając przestrzeni i kiedyś wreszcie, jak wiele innych młodych małżeństw, wyniosą się z tej dzielnicy i osiedlą na stałe w małym domku w Nassau lub Suffolk. Marian nie miała co do tego wątpliwości. Byli tylko kilka lat do tyłu.

Pojęli wtedy, że trzy pokoje nie dadzą rady pomieścić pięciu lat małżeństwa. Zwłaszcza małżeństwa z Marian, która, jak sama przyznawała, bywała cokolwiek łapczywa, lub, jak ujął to Ben podczas jednego z nieczęstych wybuchów złości, „cholerną sroką”. I tak, zamiast przemykać bokiem z pokoju do pokoju, niekiedy jeszcze się przy tym pochylając, zdecydowali o przeprowadzce. Ze względu na przestrzeń, portfel i wygodę.

Kamienica była, Boże jedyny, ogromna, a przez to tętniąca życiem. Mieszkało tu mnóstwo ciężarnych kobiet, małych dzieci wydzierających się na korytarzach i tych dużych, które podczas jazdy bazgrały na ścianach windy obsceniczne napisy. Nie sposób było przegonić ani kuchennego smrodu, ani starszego faceta, który sikał pod skrzynkami na listy. Grzejniki stukwały, rury przeciekały. Mieli też problem z karaluchami, a któregoś razu przydarzyła im się nawet przygoda z myszami. Można uznać, że w jakimś stopniu plagą zajął się dozorca, czarnoskóry poligamista – pan Iver, którego nazywano „Fantomem”.

Co roku mieszkanie 3-D wydawało się coraz mniej atrakcyjną okazją. Przynajmniej Marian, która spędzała tu większość czasu. (Trzy albo cztery razy do roku znajdowała sobie jakąś tymczasową pracę biurową, żeby móc odłożyć dość pieniędzy na nowy, kuszący zakup, któremu nie mogła się oprzeć, jak rustykalna francuska komoda albo mahoniowe biurko z okuciami z brązu, z którego była szczególnie dumna). Z nadejściem maja, wobec perspektywy rychłego lata, robiła się humorzasta i zgryźliwa. Poświęcała się wtedy generalnym porządkom i raz po raz sprzątała mieszkanie. („Chryste”, powiedział kiedyś Ben. „Jak w Dunzynie”. Uderzyła go, kiedy wyjaśnił jej nawiązanie.) Zamiast odbywać milczące sesje terapeutyczne z Benem narzekającym przed kolacją na pana Byrona, dyrektora szkoły średniej, głupie dzieciaki albo pannę MacKenzie, kretynkę zawiadującą wydziałem angielskiego liceum Tildena, Marian atakowała swoją pełną żalu litanią. Odhaczała po kolei wysoką temperaturę, hałas, kurz, monotonię, cztery ściany i cholerną nudę miejskiego lata. Miasto. Piekło. *Queens*. Przestrzeń, portfel i wygoda były bez znaczenia od

czerwca do września, kiedy to mieszkanie zupełnie nie nadało się do życia. Czemu nie mieliby tego zrobić choć jeden jedyne raz? Zasłonić wszystko folią malarską, zostawić klucze cioci Elizabeth i udać się gdzieś, gdzie jest chłodno i cicho. Lub jakkolwiek i cicho. We wrześniu mogłaby popracować w biurze.

*

Choć zaledwie kilka godzin temu wycierała kurze, na parapecie ich sypialni już zdążyła osiąść warstewka sadzy. Uniosła zasłony i zdmuchnęła pył na całej jego długości, aż poczuła ból pod uszami. Zamknęła okna. Te sypialniane, jak cała reszta, wychodziły na jednolitą szklaną ścianę i białe cegły. Nadzorczyńni, zauważyła Marian, stała na swoim posterunku, obserwując rozgrywającą się na dziedzińcu scenę. Duża kobieta wypełniała okno na czwartym piętrze i wydawało się, że jest tam od zawsze niczym potężny, niezgrabny gargulec oparty na poduszce i gapiący się obojętnie przed siebie. Ben utrzymywał, że to naga od pasa w dół bogini ogniska domowego.

Marian dodała „ustronny” do „chłodno” i „cicho”. Potrzebowała jedynie odrobiny prywatności. By choć raz mogli się kochać bez zamykania okien i spuszczenia rolet albo zamartwiania się łózkami po drugiej stronie ściany, podłogi czy sufitu. (Tak było. Ben miał to gdzieś.) Zawsze robili to przy zapalonym świetle i któregoś razu coś gruchnęło na górze tak mocno, że mało tynk nie osypał im się na głowy, a rolety poszły w górę, odsłaniając ich przed całą ścianą rozświetlonych okien.

– Czuję się jak bohaterka świńskiego dowcipu – powiedziała do Bena, kiedy ten wrócił do łóżka.

Obśmiał się wtedy jak norka. Marian przewróciła się na drugi bok i zasnęła, co go zgasiło.

No dobra, może i przesadzała, ale tylko dla emfazy, tak jak przesadza się przy projektowaniu sklepowej wystawy. Nie było przecież tak źle, chyba że jednak było. Jeszcze tylko miesiąc, dwa, i znowu odetchnie, utrzymując w ryzach galopującą paranoję na kolejnych dziewięć.

Wczoraj przejrzała cały dział nieruchomości na łamach „The Times”, co lepsze oferty czytając na głos Benowi, który na każdą z nich reagował niezobowiązującym burknięciem. Nie naciskała na niego. Była niedziela i lato nie wydawało się jej aż tak straszne. Dzisiaj jednak stało się na powrót jak najbardziej realne, czaiło się w zasięgu słuchu, punktualne niczym szwajcarski zegarek. A perspektywa spędzenia go w Queens z – może – dwoma tygodniami przerwy na północy stanu i okazjonalnymi wypadami do Jones Beach czy Bear Mountain wydawała się Marian nieznośna. Ben był wolny przez całe lato, żadnych kursów, żadnego wakacyjnego nauczania. David również nie miał żadnych zajęć, ona tym bardziej. No i nie byli aż tak do końca spłukani.

Pokiwała głową sama do siebie, przekonana co do swojego pomysłu, i poszła do salonu. Dźwięki pianina dochodziły bezpośrednio z dołu. Nachyliła się nad stojakiem z czasopismami i wyciągnęła egzemplarz „The Times”, otwarty na ogłoszeniach z domami wakacyjnymi. Raz jeszcze prześlizgnęła spojrzeniem po kolumnach tekstu, zatrzymując się na dłużej na ogólnikowych anonsach, które wczoraj zakreśliła (Ben określił to „trzepaniem gruchy”). Chwilę później nie słyszała już nawet fałszywych nut.

*

Przystanek autobusowy, hydrant, podjazd. Ta cholerna okolica robiła się gorsza od Manhattanu. Na bulwarze zostały dwa miejsca parkingowe, oba z parkometrami, i jedno przy Trzydziestej Dziewiątej, tyle że za małe na ich camaro. Objechał dwa razy całą przecznicę, wypatrując czegoś wolnego w bocznych uliczkach oznaczonych jako jednokierunkowe, które odciągały go jeszcze dalej od domu. Swój budynek minął już przed dziesięcioma minutami. Kamienica zaginęła gdzieś za szczytami Carleton Towers, Gibson Arms i Mayberry Heights. Kim, u diabła, był ten cały Carleton albo Gibson? Gdzie były wszawce Heights? I czemu w cztery dni robocze z pięciu zadanie zaparkowania małego żółtego autka nabiera wagnerowskich proporcji? Światło zmieniło się z żółtego na czerwone. Ben rąbnął aktówką o siedzenie obok, zaklął „kurwa” pod nosem i sięgnął po papierosa.

Odrzutowiec ryknął nad patykowatymi drzewami, które zdążyły już rozkwitnąć. Ku niemu jechało na rowerach czterech, może pięciu chłopców w wieku Davida. Przestali pedałować na skrzyżowaniu, ale jeden z nich, sunąc ku podporządkowanej, nagle wykręcił, żeby ominąć, na szczęście toczące się powoli, auto. Ben skrzywił się i pokręcił głową. Wykład na temat bezpieczeństwa na drodze. Jeszcze dzisiaj.

Nauczycielski instynkt zachęcał go, żeby zawołać coś do chłopców, szczególnie do tego małego, ale piętnaście metrów dalej ktoś akurat pakował się do zaparkowanego auta. Spojrzał nerwowo na sygnalizację, zmierzającą ku niemu złowrogiem samochody i szczwanego drania, który jechał boczną uliczką ku zielonemu światłu. Dalej, *zmieniaj się*. Kobieta siedziała już za kółkiem, mignęły lampki cofania. Auto ruszyło nieporadnie, wyjeżdżając na raty, i po chwili oczom Bena ukazał się kawałek

czek asfaltu. Lekko puścił camaro naprzód, wskoczyło wyczekiwane światło i, przynajmniej tu i teraz, Bóg jednak istniał.

*

Zanim dotarł do mieszczącego się naprzeciwko ich kamienicy niewielkiego lokalu serwującego lunch, Ben zdążył zapomnieć, gdzie przed zaledwie dziesięcioma minutami zaparkował auto. Myśl ta nawiedziła go nieproszona, jakby nagłe szturchnięcie, dziabnięcie w żebra i cichutki, psotny głosik mówiący: „No dobra, mądralo, gdzie stanąłeś?”. Kupił egzemplarz „Post” i papierosy, dał pieniądze starszej pani, która nigdy się nie uśmiechała, i wyszedł z lokalu, zerkając na gazetowy nagłówek. Czekał na rogu, aż zmieni się światło, i choć przecież był pewien, gdzie zostawił samochód, dla świętego spokoju odtworzył drogę do niego. Prosto przez dwie przecznice, w prawo na światłach, w lewo na kolejnych i bingo. Spojrzał na pierwszą stronę gazety – Nowy Jork znowu znalazł się na krawędzi. Przemknął po nudnym akapicie na temat cięć budżetowych – i zamarł. Bo mijał *trzy* sygnalizatory. Dwa go puściły, ale przy trzecim przystanął. Był tam ten dzieciak na rowerze, rówieśnik Daveya... Chryste, to głupie. Był *pewien*, gdzie zaparkował ten cholerny samochód. Złożył gazetę i wsunął ją pod pachę.

Po jezdni, blisko krawężnika, przetoczył się autobus. Ben odwrócił się od spalin, które buchnęły z rury wydechowej, przełożył aktówkę do lewej ręki i poluzował krawat. Nie odpędził jednak od siebie tamtej myśli; choć trywialna, nie dawała mu spokoju. Próbował ją zdławić, myśleć o czymś istotniejszym – kryzysie fiskalnym, hałasie, korupcji na wysokich stołkach, korkach ulicznych i smogu, górującą nad nim, paskudną

kupą kamieni naprzeciwko. Jak można było wychowywać tu dziecko? Alternatywami były Nassau albo Suffolk, może Rockland, czy nawet coś jeszcze bardziej wysuniętego na północ. Marian miała rację: miasto każdego dnia wydawało się coraz mniej atrakcyjne, odpychające. Może powinni to przemyśleć na poważnie. I to była tak naprawdę istotna kwestia, a nie fakt, że – jednak – zgubił ten pieprzony samochód.

Czyli może powinien pójść go poszukać, a nie czekać do rana. Musiałby wtedy wyjść z domu kwadrans wcześniej niż zwykle i błąkać się po ulicach jak roztargniony idiota, którym niewątpliwie był. Przełożył aktówkę do prawej ręki. Marynarka lepiła mu się do ciała, ryczało radio tranzystorowe i ktoś nie szczędził klaksonu, upominając kierowcę auta wykonującego niedozwolony manewr. Część jego umysłu wyłączyła się i uśpiła, a wszystkie te dźwięki dokuczały mu jak kęs niestrawionego jedzenia. Nazywali to stresem. Wszystko, co przydarzało mu się w ciągu dnia, te drobne, frustrujące, durne trudności potrafiły go *naprawdę* wyprowadzić z równowagi.

Ben zastanawiał się, ile jeszcze musi minąć czasu, zanim pięknie i rozsądna część jego umysłu powie: „Mam dość, synek, radź sobie sam”. A potem odłączy się od niego i pofrunie ku niebu niczym balonik. Hen, daleko... Wziął głęboki oddech, patrząc na jej prawdopodobny tor lotu nad budynkiem, nadymał policzki i wydał z siebie cmoknięcie. Dopiero wtedy zauważył stojącą obok niego na chodniku dziewczynkę, która uniosła głowę. *Uśmiechnij się, skarbie*. Cmoknął do niej powtórnie, umyślnie głośniej, i tym razem dziecko uniosło rączkę do ust i zachichotało.

– Cześć – przywitał się. – Co masz w tej torbie?

– Dzyń dzyń – powiedziała po chwili, znowu wybuchając śmiechem.

– A co to są dzyń dzyń?

– Ciastka – odparła.

Mógłby przysiąc, że w odpowiedzi tej czał się podtekst „idioto”.

Zmieniło się światło i dziewczynka, przebijając chudymi nóżkami, przebiegła przez ulicę.

Ben przystanął na moment na rogu po drugiej stronie jezdni, ostatni raz wytyżając pamięć, ale miał pustkę w głowie i uznał, że to absurdalne i nie ma zamiaru dłużej się tym zadreć. Skierował się ku wejściu do kamienicy. Przywitał się radośnie ze starszymi paniami siedzącymi przy drzwiach na krzesłach ogrodowych, które plotkowały, obserwując uliczny ruch. Przechodząc przez zalatujący kapustą hol, natknął się na pana Girolamo, którego przed rokiem dopadł atak serca i teraz spędzał całe dni, czekając na listonosza. Pan Girolamo zapytał, czy nie jest mu przypadkiem zbyt gorąco. Ben odparł, że owszem, i podpytał sąsiada o zdrowie. Ten czuł się nieźle. Dodał też, że tego ranka naprawiono windę. „Zobaczmy, co zepsuje się następne”, rzucił jeszcze Ben, a pan Girolamo, który miał lat sześćdziesiąt, a wyglądał na osiemdziesiąt, roześmiał się bez przekonania.

*

Marian zdjęła dzinsy i spraną koszulkę roboczą i włożyła jasnoniebieską bluzkę pod kolor oczu oraz spódniczkę z czerwonego denimu. Stała przed łazienkowym lustrem, czesząc włosy. Ktoś z pionu D akurat pociągnął za spłuczkę, bo zza prysznicowej zasłony w kwiaty usłyszała powolne, miarowe

kapanie. Krople wody zabarwiły porcelanę na niebiesko. Podobne dźwięki od dawna były częścią panującej tu atmosfery i na dobrą sprawę przestała je zauważać. Grzebień szeptał, przemykając przez jej włosy długimi pociągnięciami. Przerwała czesanie, nachyliła się do lustra i lekko obróciła w prawo. Palcem rozdzieliła opadające na skroń kosmyki. Nad lustrem zamontowano cztery cylindryczne lampy (operację tę Ben określił mianem „kwiatka do kozucha”). Przeważała nieco jedną z nich – białą; mieli jeszcze różowe – i skierowała na bok głowy. Fałszywy alarm. Ustawiała ją na poprzednią pozycję. Cóż, była już po trzydziestce i należało się z tym pogodzić, powiedziała do lustra. Przepłukała grzebień, wytarła blat z różowego marmuru (należący do nich, nie do administracji budynku) i rozegrała szybką szachową partyjkę kolorowymi buteleczkami, tubkami i słoiczkiem „reprezentacyjnego” mydła. Kiedy usłyszała przekręcany w zamku klucz, odgarnęła z ramion zbłąkane włosy i wyłączyła światło. Łazienka pachniała liłiami.

– To ja! – zawołał Ben.

Zastała go przy przeglądaniu poczty. Kiedy ją zobaczył, odłożył koperty na bok.

– Cześć, kochanie – powiedziała, kładąc mu ręce na ramionach.

Na biurku, obok telefonu, leżała gazeta z pozakreślanymi przez nią ogłoszeniami.

Chyba jej nie zauważył.

– Ale upał! – rzucił Ben, odsuwając się od niej.

Przystanął na środku salonu i zaczął węszyć.

– Pachnie tu olejkiem cytrynowym – zauważył.

– Pracowita ze mnie dziewczynka – odpowiedziała. – Napijesz się piwa?

– Jasne – odparł i, słysząc dochodzące z dołu dźwięki pianina, prychnął fachowo pod nosem.

Kiedy wyszła z pokoju, pomrukiwał i fukał jeszcze głośniej.

Poszła do kuchni z wydzieloną na przedzie częścią jadalnianą znajdującą się pod oknem ozdobionym jasnymi, letnimi zasłonkami. Winyłowa podłoga w różowe kamyczki aż lśniła. Marian wyciągnęła z lodówki dwa piwa i sięgnęła po szklanki do staromodnego barku (panel drzwiczek sama pomalowała na zielono). Lada chwila Ben zauważył gazetę z podejrzanymi numerami telefonicznymi i pozakreślanymi albo powykreślanymi ogłoszeniami. Czy powinna była dzwonić sama, czy raczej zaczekać? Już za późno, żeby się nad tym zastanawiać. Przeląła oba piwa, stojąc przed dużą tablicą z haczykami, na których zawiesili lśniące miedziane garnki.

– No nie wytrzymam tego dłużej! – zawołał nagle z salonu Ben; jego głos przypominał parodię krzyku. – Nie wytrzymam!

Uniosła głowę i spojrzała do salonu, lecz zanim zdołała cokolwiek odpowiedzieć, miedziane garnki zaczęły podskakiwać i podzwaniać. Całe mieszkanie drżało, kuchenna podłoga aż się trzęsła. Z pokoju dobiegło ją zduszone łup, łup, łup i brzęczenie szkła.

– Mój Boże, *Ben!* – zawołała.

Rzuciła się biegiem do salonu, gdzie zastała męża skaczącego po dywanie, bezpośrednio nad miejscem, gdzie, jak się wydaje, rodziły się dźwięki pianina. Lampy drżały, a stojąca na stole porcelanowa figurka ześlizgiwała się coraz bliżej krawędzi

blatu. Złapała ją i złęknionym spojrzeniem objęła pokój, po czym krzyknęła na męża:

– Czyś ty zwariował?! Ben, przestań! Przestań!

Ten wykonał ostatni skok ze złączonymi stopami i przestał, kiedy pianino powoli ucichło.

– Słuchaj – szepnął. – Chyba podziałało.

– Kompletnie ci odbiło. Oszalałeś.

Przeszła się po salonie, prostując obrazki i kinkiety, sprawdzając lampy, miski, figurki i wazony stojące na wypolerowanych meblach.

– Nieżle im dowaliłem – powiedział.

Pianino rzeczywiście zamilkło.

– Bardzo śmieszne. Bardzo.

O dziwo, nie narobił żadnych szkód. Spanikowane spojrzenie ustąpiło mimowolnemu, bezradnemu uśmiechowi. Pokręciła głową.

– Idiota.

– I co z tym piwem? – zapytał, zwałając się na kanapę.

Kiedy przyszła ze szklankami do salonu, muzyka na powrót rozbrzmiała, tak samo donośnie jak poprzednio. Ben wyrzucił w górę rękę.

– To musi być jakiś spisek. Całe podzielone miasto chce mi dowalić w dupsko.

Poklepał poduchę obok siebie. Marian podała mu piwo, położyła dwie podkładki i usiadła.

– Teraz *ty* będziesz z nią gadał – powiedziała, skinąwszy na podłogę.

– Niech lepiej ta stara jęzda się martwi, że będzie musiała gadać ze *mną*. – Upił łyk. – Choć i tak pomyśli, że to ty. A przy najmniej coś mi się na ten temat wymysknie.

- Zrobiłbyś to, nie?
- Pieski świat, skarbie.
- Hej – powiedziała po chwili. – Mam pomysł.
- Tak?
- Przeprowadźmy się.

Uśmiechnął się i spojrzał przed siebie, po czym przytulił ją. Rozpięła mu koszulę. Przez chwilę bawiła się szwem, po czym włożyła rękę za połą i masowała go po twardej, mokrej od potu piersi.

– Słyszałeś, że na dole nikt nie mieszka? – zagaiła konspiracyjnym szeptem. – I pianino gra samo? A nad nami szurają stopy, choć mieszkanie jest puste. Zostały tam tylko dźwięki – jej palce powędrowały wyżej po jego klatce.

Ben rozsiadł się wygodniej, opierając głowę o ścianę.

- Relaks?
- Powolutku – odparł, wzdychając ciężko, po czym położył stopy na stoliku kawowym.

Marian nachyliła się i przesunęła nieco dalej papierośnicę z rżniętego szkła.

– Opowiadałem ci kiedyś o moim ostatnim załamaniu? – zapytał.

– Nie.

– Przypomnij mi o tym któregoś dnia.

Pokiwała głową.

– Nawet po dziewięciu latach można się dowiedzieć czegoś nowego. Czy to o to chodzi, kiedy mówi się o małżeńskiej przygodzie?

Przesunął dłonią po jej kolanie i ścisnął lekko. Gapił się z obojętnym wyrazem twarzy na pęknięcie na suficie.

Za sylwetką męża Marian widziała okna sąsiedniego bu-

dynku. Po jednym z mieszkań chodziła jakaś postać w pasiastych kalesonach.

– I jak było dzisiaj? – wydusiła z siebie w końcu. – Czy raczej nie powinnam pytać?

– Nie powinnaś, ale zapytałaś – odparł leniwie. – A jak jest zawsze? Dzieciaki są bystre i chętne do dyskusji, wszystkie aż się palą do nauki. Jakby tego było mało, dzisiejsze spotkanie rady pedagogicznej okazało się wyjątkowo ekscytujące i...

Beknął.

– Świnia – powiedziała.

Odwrócił się do niej z uśmiechem tak niewinnym i rozbrajającym, że, choć jak sam twierdził, a może i nie, swoje najlepsze lata miał dawno za sobą, nadal nie mogła mu się oprzeć.

– Powiedzieć ci coś? – odezwał się. – Niezbyt lubię swoją pracę.

Zabrzmiało to tak, jakby sam dopiero co doszedł do tej rewelacji.

– Zawsze to mówisz o tej porze roku.

– I zawsze mówię poważnie.

– Jeszcze miesiąc, nie? Dasz radę.

– Nie tym razem, kotku. Już tego nie zdzierzę. – Wyprostował się i spojrzał na nią kątem oka, po czym oświadczył:

– Zgubiłem auto.

– Jak niby ci się to udało?

Opowiedział jej. Śmiała się. Nie potrafił zrozumieć, co ją tak rozbawiło.

– Rozumiesz, to znak – powiedział i wydał z siebie odgłos, jakby o ziemię gruchnęło coś dużego i ciężkiego. Zawsze dobrze mu wychodziły takie rzeczy.

– To znaczy...? – Uniosła dłoń i zakręciła palcem z boku głowy.

Nagle jakby odmienił mu się humor i zamiast odpowiedzieć czymś podobnym – na przykład żywiołowo przytaknąć – sięgnął po cichu po papierosa.

– Czas najwyższy, żebyś dorósł razem z nami – dodała.

Ben jednak słuchał jej jednym uchem, rozproszony przez coś – pianino, dzieci bawiące się pod oknem. Lub piwo. Uderzało mu do głowy szybciej niż wino. Rzadko pijał cokolwiek mocniejszego.

– Hej! – szturchnęła go, i powróciła ta część jej męża, która na moment opuściła Bena.

– Hej – odpowiedział.

– Mam lek na wszystkie twoje problemy – powiedziała radośnie. – *Ucieczka*. – Nie dając mu dojść do słowa, mówiła dalej: – Tylko nie krzycz. Po prostu przez chwilę mnie posłuchaj.

Obejrzała się. Przypalał sobie papierosa. Podniosła gazetę, zabrała z biurka zieloną materiałową popielniczkę i zniosła wszystko na kanapę. Kiedy zobaczył, co niesie, zwiesił, zmęczony, głowę, aż mu podbródek opadł na pierś. Wydmuchnął gęsty obłok dymu i Marian zobaczyła rysujące się z drobinek gwiazdy, spirale i wykrzykniki.

– Daj spokój – powiedziała.

Postawiła popielniczkę na stoliku, choć przy krawędzi blatu stała inna, porcelanowa, ozdobiona delikatnymi niby-falbami. Ben czekał, aż Marian umości się przed nim na podłodze.

– Przybyła doń po prośbie – odezwał się donośnym głosem.

– Słuchaj – szturchnęła go, chrząknęła i zaczęła czytać: –

„Wyjątkowy letni dom. Spokojny i ustronny. Idealny dla dużej rodziny. Basen, prywatna plaża, przystań...”

Roześmiał się.

– *Słuchaj* – nalegała. Czytała dalej: – „Długi sezon. *Bardzo rozsądna* cena dla właściwych ludzi”.

Sama dodała podkreślenie.

– Rasistowskie świnię – powiedział.

– Przecież nie o to im chodzi. – Podsunęła mu gazetę pod nos niczym dorodnego, dojrzałego pomidora. – Dwie i pół godziny od miasta. Czy może być lepiej?

– Jakiego miasta? – zapytał. – Warszawy?

– Nowego Jorku, głuptasku.

– Bardzo rozsądna?

– Tak piszą.

Ben odłożył papierosa, odsunął od siebie gazetę, chwycił Marian za dłonie i naparkł, zmuszając ją do przyjęcia niemalże błagalnej pozycji.

– Skarbie – powiedział – o tym biurku też tak pisali, pamiętasz?

Skinął głową na antyk, na którym leżały jego papiery i kilka książek. Zwykle pracował przy kuchennym stole.

– A co to ma do rzeczy?

– To lekcja semantyki, traktująca o spadku i upadku znaczeń.

– Och, przestań. Nie jesteśmy w twojej parszywej klasie.

– Na szczęście – odparł. Mówił dalej, zachowując ostrożność i pilnując, aby nie zabrzmiało to jak wyrzut. – Rozsądnie było zjeść śniadanie, a przynajmniej tak mówili. I kupić te fikuśne krzesła...

– Berzerę!

– ...stoliczki, lampki, inne duperele i Bóg raczy wiedzieć, co poupychałaś po szafach. „Rozsądne” decyzje, a raczej ich parodie, sprawiły, że po dziewięciu latach mamy na koncie dwa tysiące.

– Czyli prawdopodobnie o dwa tysiące więcej niż całe mnóstwo ludzi – odpowiedziała. – Czemu się tak pienisz, na litość boską?

– Bo domu z plażą, basenem i przystanią nie dostaniesz za rozsądną cenę. Zapobiegam katastrofie.

– Ben J. Negatywny. Cały czas coś ci nie pasuje.

– Nie stać nas na domek letniskowy.

Wymachiwał jej rękoma z góry na dół, jakby odmierzał rytm wypowiedzanym słowom. Gazeta spadła pomiędzy nich, zabazgrana numerami i zapiskami.

– Jak chcesz, pojedziemy na dwa, może nawet trzy tygodnie na północ stanu, co? – zapytał.

– Fuj! – Skrzywiła się i zabrała rękę.

Przyglądali się sobie przez przedłużającą się chwilę dzielącą kolejne rundy sporu. Marian siedziała z przesadnie kwaśną miną. Chciała, żeby poczuł się beznadziejnie okrutny i nierozsądny.

– Benjie – szepnęła, przysuwając się do niego bliżej. – Czemu jesteś takim gnojem?

Przyczłapała między kolana męża i oparła twarz na piersi Bena. Jej włosy dotykały jego rąk.

Pozwolił jej się umościć i powiedział:

– Już rozumiem.

– Co rozumiesz?

Czuł jej słowa na swojej klatce piersiowej.

– Nęcenie cyckiem i tyłkiem. Próbujesz mnie przekabacić.

– Myślisz, że zrobiłabym coś tak oczywistego i taniego? – Przytuliła się do niego mocniej. – Ale możemy chociaż pojechać i się rozejrzeć, co? Choćby tylko po to, aby udowodnić, że masz rację i jaki jesteś mądry i rozsądny. – Uniosła głowę i spojrzała na jego podbródek. Jeśli spojrzałby na jej minę, wyrażałaby ona bezbrzeżną skruchę. – Bo ja już... do nich dzwoniłam.

– Dzwoniłaś do nich – powtórzył spokojnie.

– Tak. Oczekują nas słodkie, malutkie, piernikowe ludki.

– Kiedy?

– Sobota? – zapytała. Ośmieliło ją jego milczenie. – Tylko pomyśl, Benjie. Urocza przejażdżka przez łąki, popołudniowy piknik z twoimi ulubionymi przysmakami. Nie rób ze mnie kłamczuchy. Zgódź się.

– Nie.

I tak się zgodzi, jak zgadzał się przez ostatnich kilka lat. Musiał jednak wyrzucić z siebie obowiązkowy protest, na który ona zareaguje swoim. Zaczną od rozsądnie wycenionych chatek plażowych za jedyny tysiąc miesięcznie i stamtąd pójdą dalej, do tandetnie pobudowanych chałup z widokiem na jezioro i kempingów z bungalowami zamieszkałymi przez plemiona rozkrzyżowanych dzieci i słomianych wdów, wyglądającymi, jakby przeszczepiono tam Queens. Prycze, rozlatujące się meble, tania fototapeta na ścianie i gołe deski na podłodze, nieustannie mokre i chrzęszczące od piachu. Ledwie potrafił nanieść Marian na podobny obrazek, ale fantazja go nie opuszczała.

Milczała, czekając, aż zmięknie i poczuje chytry, ukradkowy dotyk po wewnętrznej stronie spodni.

– Chyba są gorsze sposoby na spędzenie soboty – odezwał się wreszcie.

Uśmiechnęła się, ale bez śladu tryumfu. Odezwała się do niego jakby skruszona.

– Nie jesteś na mnie chyba zły, co? Za te telefony? Powinam była na ciebie poczekać, ale czasem potrafisz być nastawiony tak negatywnie... co też naprawdę szczerze, ogromnie, nieziemsko *kocham*. – Uniosła się, żeby spojrzeć mu w oczy. – Jeśli wszystko wypali, to tylko na tym skorzystamy. Nie będziemy musieli się martwić o Daveya i ten cholerny rower. Albo o mnie. Nie będziesz się zastanawiał, czy nie znajdziesz mnie rozpaćkaną na chodniku pod domem, co może się zdarzyć, jeśli zostanę zmuszona spędzić w tym kotle kolejne lato.

– Nie jestem zły.

– Oto mój Benjie.

Zmienił pozycję na nieco dla niej niewygodną.

– Za to robię się trochę napalony i jeśli nie masz ochoty zafundować sąsiadom gorącego występu...

Ben ześlizgnął się z kanapy, uwalniając się od Marian, która rzuciła szybkie spojrzenie na otwarte okno. Nadzorczyńni nadal stała oparta o parapet, obfite piersi wylewały się na poduchę. Dziedziniec aż huczał od ryku.

– Poza tym – powiedział, zaśmiaawszy się lekko – nie mamy już auta, pamiętasz?

Gdy tylko to powiedział, pianino wygrało ogłuszającą kulminację i do głowy wpadła mu nazwa Mayberry Heights. I budynek stojący pół przecznicy dalej, na Wood Avenue, gdzie zaparkował camaro – bez wątpienia, na pewno tam – przed dużym oknem, za którym rozciągało się biurowe lobby. Wyraźnie zobaczył plastikową paprotkę, lampę i krzesła przy-mocowane do ściany łańcuchem.